



Powstańcy warszawscy
w Zakładach Adlera
we Frankfurcie nad Menem
1944–45

Ośrodek **Karta**

Katzbach — obóz widmo

Powstańcy warszawscy
w Zakładach Adlera
we Frankfurcie nad Menem
1944–45

OD WYDAWCY

„Katzbach” – ta nazwa w Polsce nie mówi już nic. Niemal nikt nie wie, że Zakłady Adlera w centrum Frankfurtu nad Menem przez kilka ostatnich miesięcy II wojny światowej były miejscem gehenny dla wielu powstańców warszawskich, przewiezionych tam po upadku Powstania – do pracy w nieludzkich, wyniszczających warunkach. Z ponad 1600 więźniów obozu, głównie Polaków, przeżyło go zaledwie kilkudziesięciu.

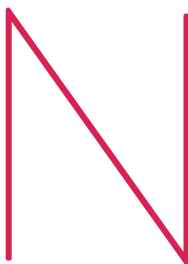
Także w Niemczech ta nazwa mówi niewiele. Michael Knorn i Ernst Kaiser – niemieccy badacze – jako pierwsi jeszcze w latach 80. podjęli dokumentację tego miejsca, oficjalnie filii obozu koncentracyjnego Natzweiler. Mimo ich ogromnego wysiłku, by Katzbach przywrócić lokalnej pamięci mieszkańców Frankfurtu, dotarli tylko do nielicznych. Z polskiej strony sprawę podjęła Joanna Vincenz, nagrywając rozmowy z ostatnimi żyjącymi więźniami podobozu i publikując je w Niemczech.

Dzięki ich pracy, Ośrodek KARTA mógł podjąć próbę upamiętnienia losu ofiar Katzbachu w obu krajach. Niniejsza broszura została przygotowana (po polsku i po niemiecku) na podstawie nagranych relacji, zbiorów dokumentów i fotografii. Opisuje ona drogę powstańców warszawskich z pokonanej stolicy przez kolejne obozy koncentracyjne w Niemczech – aż po piekło przymusowej pracy i walki o przeżycie we frankfurckich Zakładach Adlera.

Doświadczenie świadków, opowiedziane ich głosem, może być punktem wyjścia polsko-niemieckiego dialogu dotyczącego Katzbachu. Wciąż bowiem brakuje wspólnego, jednoznacznego podejścia do problemu jego trwałego upamiętnienia w obu krajach. Dziwi ponadto, że temat obozu, do którego trafili przede wszystkim powstańcy warszawscy i który charakteryzował się wyjątkowo wysoką śmiertelnością więźniów, dotychczas nikogo w Polsce nie zainteresował badawczo. Dlaczego Katzbach wciąż pozostaje obozem-widmem? Jak długo będzie czekał na wpisanie w historię Frankfurtu oraz miejsce w polskiej pamięci i historiografii? Liczymy, że niniejsza publikacja – w ramach programu „Praca przymusowa i zapomniane ofiary”, prowadzonego przez niemiecką Fundację „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” – pozwoli przełamać to milczenie.

Agnieszka Kudelka

OBÓZ W SERCU MIASTA



a skraju frankfurckiego śródmieścia, w skrzydle budynku zakładu I Adlerwerke mieściła się od 22 sierpnia 1944 do 24 marca 1945 filia obozu koncentracyjnego Natzweiler – pod kryptonimem „Katzbach”. Za jego powstanie odpowiedzialna była spółka Adlerwerke AG (dawniej Heinrich Kleyer AG),

drugi co do wielkości zakład przemysłowy we Frankfurcie, a czwarty producent samochodów osobowych w Rzeszy. Podczas II wojny światowej umocniła ona swoją pozycję jako czołowy dostawca transporterów opancerzonych dla Wehrmachtu.

Dresdner Bank, jako drugi pod względem wielkości akcjonariusz Adlerwerke, udzielił zakładom na przełomie lat 1941/42 kredytów w wysokości 5,5 miliona reichsmarek. Dzięki temu proces przekształcenia zakładu w zbrojeniowy oraz budowa w nim obozu pracy przymusowej miały zapewnione finansowanie.

Reichsführer SS Heinrich Himmler obiecał w lipcu 1944 przemysłowi motoryzacyjnemu dwanaście tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych, którzy zostali rozdzieleni między Adlerwerke i inne zakłady Głównej Komisji ds. Pojazdów Mechanicznych. Główny Urząd Gospodarki i Administracji SS sprawdził na miejscu warunki bezpieczeństwa, podpisał z firmą umowę regulującą podział pracy w zakresie ochrony i zaopatrzenia obozu, oddelegował do Frankfurtu załogę wartowniczą SS oraz składającą się z więźniów brygadę budowlaną (*Baukommando*), a także szukał w różnych obozach koncentracyjnych odpowiedniej siły roboczej. Odpowiedzialny za przebieg pracy inżynier Adlerwerke osobiście wybierał więźniów z obozu koncentracyjnego Dachau.

Załoga wartownicza obozu Katzbach składała się z dwudziestu pięciu esesmanów, na czele których jako dowódca jednostki stał SS-Hauptscharführer Erich Franz. Adlerwerke zorganizowały własne ekipy pomocnicze, które rekrutowały się przede wszystkim z pracujących w zakładach członków SA.

Więźniowie musieli pracować na dziennych i nocnych zmianach, odpowiednio od 6.30 do 17.00 i od 18.00 do 6.00 rano. Racje



Frankfurt nad Menem, 1986.
Zakłady Adlera, widok
od strony kolejki
miejskiej S-Bahn
FOT. BARBARA AUMÜLLER

żywieniowe były absolutnie niewystarczające. Postępującemu przepełnieniu obozu próbowano zaradzić przez utworzenie „izby chorych” i „opieki” (bloku dla rekonwalescentów). Dramatycznie wzrastająca od grudnia 1944 liczba zgonów więźniów nie poruszyła SS ani Adlerwerke – udało się im nawiązać sprawną współpracę z zakładem pogrzebowym we Frankfurcie. Izba chorych miała około dwudziestu łóżek i była równie katastrofalnie przepełniona, jak „opieka”.

Zgony więźniów w podobozie we Frankfurcie były przede wszystkim konsekwencją ich systematycznego wynędznienia. Niedożywienie i brak odpowiedniej odzieży prowadziły do drastycznego wzrostu śmiertelności w ciągu kilku tygodni. Działania lekarza zakładowego ograniczały się jedynie do wystawiania – bez autopsji – aktów zgonu. Jako przyczynę śmierci najczęściej podawano „gruźlicę”, „uszkodzenie mięśnia sercowego” (również u bardzo młodych mężczyzn) oraz „zatrucie krwi”. Co najmniej 62 więźniów straciło życie podczas nalotu bombowego. Ponadto miało miejsce pięć rozstrzelań, dwa stracenia (przez ścięcie i przez powieszenie); jeden z więźniów miał się rzucić z okna. Pokazowe wymierzanie kar, włącznie z egzekucją przez powieszenie, gdy podejrzewano sabotaż, budowało atmosferę zastraszenia. Adlerwerke sankcjonowały terror SS i dodatkowo wspierały go przez utworzenie własnego oddziału strażników. Więźniowie, którzy przeżyli, potwierdzają pojedyncze przypadki potajemnej pomocy udzielanej im przez cywilnych pracowników zakładów.

Wysokie koszty związane z siłą roboczą i liczbą osób zdolnych do pracy oraz zbyt wolne transporty z obozu do niej niezdolnych stały

się powodem utrzymującego się konfliktu między Adlerwerke a SS. W styczniu 1945 w skargach przed urzędem zbrojeniowym wskazano złą kondycję więźniów jako jedną z przyczyn obniżonej wydajności produkcji Adlerwerke. W odpowiedzi SS skierowała dodatkowo dwustu więźniów do prac przy budowie i przygotowała kolejnych czterystu więźniów do pracy przy produkcji.

Wprawdzie wielkość produkcji w obozie nadal nie spełniała oczekiwań, jednak odkąd zmuszono do pracy więźniów, udało się znacznie zwiększyć liczbę wytwarzanych podwozi dla transporterów opancerzonych. Spadek produkcji nastąpił pod koniec stycznia, kiedy ponad 37 procent więźniów zostało odtransportowanych z obozu lub zmarło. Produkcja w obozie trwała aż do 23 marca 1945, kiedy nastąpiła jego ewakuacja.

Katzbach miał jeden z najwyższych współczynników śmiertelności wśród wszystkich 28 obozów koncentracyjnych i ich podobozów w Hesji oraz najwyższy pośród oddziałów fabrycznych obozu koncentracyjnego Natzweiler. Wskaźnik umieralności wśród więźniów, którzy trafili tam z Dachau (tysiąc więźniów), Buchenwaldu i Auschwitz (łącznie sześciuset) oraz Neuengamme i Natzweiler (dziewięćciu), należał w styczniu 1945 do najwyższych w całym systemie obozów koncentracyjnych. Spośród 1609 więźniów w ciągu siedmiu miesięcy na miejscu zmarło 528. Ostatecznie dwustu pięćdziesięciu śmiertelnie chorych więźniów przekazano do obozów w Vaihingen i Dachau, a pięciuset do Bergen-Belsen. Pozostali zostali wysłani na marsz śmierci do Buchenwaldu, podczas którego wielu z nich zostało zastrzelonych przez SS.

Ernst Kaiser, Michael Knorn

Z niemieckiego przełożyła
Judyta Klimkiewicz

Dziękujemy Autorom za zgodę na publikację tekstu, który ukazał się po raz pierwszy w dziele zbiorowym *Der Ort des Terrors. Geschichte der nationalsozialistischen Konzentrationslager*, pod redakcją Wolfgang Benza i Barbary Distel, tom 6 (München 2007). Oryginał zawiera przypisy i wskazówki dotyczące literatury uzupełniającej. Michael Knorn i Ernst Kaiser opublikowali monografię obozu Katzbach *„Wir lebten und schliefen zwischen den Toten.” Rüstungsproduktion, Zwangsarbeit und Vernichtung in den Frankfurter Adlerwerken* [„Żyliśmy i spaliśmy między umarłymi.” Produkcja zbrojeniowa, praca przymusowa i zagłada we frankfurckich Zakładach Adlera] (Frankfurt am Main 1994). Książka ukazała się w 2010 roku w czwartym poprawionym i rozszerzonym wydaniu.



Niewola

Warszawa, 4 października
1944. Powstańcy czekający
na wymarsz do niewoli przy
ulicy Śniadeckich
FOT. EDWARD WOJCIECHOWSKI
/ MUZEUM POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Rano obudziły mnie krzyki Niemców, żeby wychodzić z piwnicy: „Raus! Raus!”. Kiedy Niemcy zdobyli kamienicę na ulicy Kopernika, oddzielnie ustawili zameldowanych i niezameldowanych w tym budynku. Prowadzili nas potem grupami przez Uniwersytet, a stamtąd przez Wolę do pociągu na Dworcu Zachodnim, którym nas zawieźli do Pruszkowa – do obozu przejściowego.

RYSZARD OLEK

Niemcy wzięli nas, jak wielu innych... Zgarniali wszystkich z powstania. Byliśmy wtedy w domu, w piwnicy, razem z innymi. Brat był ranny, dostał wcześniej kulę w nogę. Niemcy prowadzili nas kolumną. Chcieliśmy z bratem uciec po drodze, ale ojciec nie chciał od nas odejść. Mówił: „Musicie zostać ze mną. Zobaczycie, że nas wypuszczą”. Szliśmy więc razem z nim do Pruszkowa, chociaż po drodze mogliśmy z dziesięć razy uciec.

ZYGMUNT ŚWISTAK

Niemcy aresztowali mnie między dzielnicą Grochów i Zielonką. Szli i wypędzali wszystkich z domów. Chciałem się schować, żeby tego

uniknąć, ale się nie dało – dokładnie wszystko przeczesywali. Uwięzili nas najpierw w kościele św. Floriana na Pradze. Cały kościół był pełen ludzi. Naokoło ustawili żołnierzy. Spędziliśmy tam noc, a rano piechotą pędzili nas przez całą Warszawę, przez plac Zamkowy... Zapędzili nas na Dworzec Zachodni i stamtąd zawieźli do Pruszkowa. W obozie w Pruszkowie spotkałem ojca i brata.

JAN KOZŁOWSKI

9 września 1944 przyszli Ukraińcy i Niemcy – wypędzili nas z mieszkań i piwnic, podpalili domy, a nas na szosie ustawili w kolumny. Najpierw popędzili nas przez Włochy, a stamtąd zawieźli koleją elektryczną do Pruszkowa. Do obozu dotarliśmy razem z matką i siostrą, a tam rozdzielili nas.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Do niewoli Niemcy wzięli mnie na Powiślu. Wzięli nas na ulicy Smulikowskiego, ustawili pod ścianę i co dziesiątego rozwalali. Byłem siódmy – miałem szczęście. Później nas popędzili na Wolę do takiego kościółka. Jeszcze tam jacyś pijani esesmani wybrali kilku do zabicia. Wreszcie zapędzili nas do Pruszkowa, do obozu. Stamtąd organizowano transporty do Niemiec, w bydłowych wagonach.

KAJETAN KOSIŃSKI

Kiedy do mieszkania wpadli Niemcy, zrzuciłem bluzę z opaską. Zostałem tylko w spodniach, więc złapałem dwie walizki, starając się zasłonić te niemieckie spodnie. Niemcy nas wyprowadzili i jeszcze z tydzień trzymali na Starym Mieście, nie wiadomo po co. Zebrali nas, młodych, w piwnicy. A potem popędzili do Pruszkowa.

Mówili, że wysyłają nas „na roboty do Niemiec”. Był ze mną pewien kolega, który miał przy sobie złote monety. Mówił do mnie: „Wypuścimy się”. Chciał zapłacić za nas obu, żeby nas wypuścili. Za złoto wszędzie wypuszczali. A ja mu na to: „Słuchaj, pojedźmy lepiej do Niemiec, bo co tu będziemy robili?”.

JANUSZ GARLICKI

W Pruszkowie rozdzielano starych na jedną stronę, a wszystkich innych, młodszych, także z rodzinami – na drugą. Pomyślałem sobie: chyba nie jest tak źle, jeśli z rodzinami biorą. Dałem się włączyć do tej kolumny, która szła w prawo. Wskazali nam wagon, wskoczyłem. Był to zwykły wagon towarowy, w miarę czysty, kryty, okienka zadrutowane, ale pozrywałem te druty, żeby było więcej powietrza. Od razu ustaliliśmy, że jedziemy na Żyrardów, czyli na zachód, potem Skierniewice i Koluszki. Tam mogliśmy się zorientować, że jedziemy do Rzeszy.



Dachau

Obóz koncentracyjny Dachau, do którego trafiło wielu więźniów przetransportowanych później do Frankfurtu nad Menem

FOT. STUDIUM POLSKI
PODZIEMNEJ W LONDYNIE

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Na terenach polskich ludzie na stacjach rzucali nam przez okienko warzywa, chleb – co kto miał. Wiedzieli, że jedzie transport mężczyzn z Warszawy. My wiedzieliśmy tylko, że jedziemy do pracy w Niemczech.

Pociąg był silnie strzeżony, na niektórych wagonach były karabiny maszynowe. Do Dachau dojechaliśmy 12 września. Po wyjściu z wagonów – przy krzykach „*Raus! Schnell!*” – ustawiono nas w piątce i w obstawie esesmanów wprowadzono przez bramę z napisem „*Arbeit macht frei*” na plac apelowy. Staliśmy tam do rana.

Kiedy zrobiło się widno, zobaczyliśmy baraki i krzątających się więźniów w pasiakach. Po pewnym czasie zaprowadzono nas do budynków administracyjnych. Po wejściu do szrajbsztuby każdy musiał oddać dokumenty i wszystko, co miał wartościowego. Ubranie też trzeba było zostawić. Nago przechodziło się do następnego pomieszczenia, w którym trzeba było zanurzyć się w jakimś płynie, prawdopodobnie rozcieńczonej formalinie. Następnie przeszliśmy przez łaźnie i na końcu otrzymaliśmy pasiaki i numer obozowy. Odtąd nie byłem już Andrzejem Braneckim, tylko numerem 106016.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Dopiero kiedy już na miejscu wypędzali nas z wagonów, usłyszałem, że to jest „*Konzentrationslager Dachau*”. Przypomniałem sobie, że Dachau to był pierwszy obóz koncentracyjny, który Niemcy zrobili dla swoich, w 1933 roku, gdy Hitler doszedł do władzy...

Poszły na nas reflektory. Przy wózku, gdzie był reflektor, zobaczyłem, że stoi esesman, a przy dyszlu zamiast konia – ludzie w pasiakach. Całą noc nas trzymali na placu apelowym, następnego dnia przyszedł *Dolmetscher* [tłumacz] i *Lagerältester* [starszy obozu], który krzyknął, żeby wystąpiły dziewczyny. Jakie dziewczyny? Przecież tutaj są sami chłopcy – pomyślałem. Starszy obozu zapowiedział przez tłumacza: „W tej chwili pójdziecie do łaźni, wszyscy nago. Zostawcie sobie tylko paski od spodni. Papiery trzeba odłożyć na bok i ubrania rzucić na jedną kupę. I tak każda dziewczyna, jeśli jest przebrana, zostanie odkryta”. Okazało się, że kilka osób wyszło jednak do przodu. To były przebrane dziewczyny, które chciały zostać ze swoimi chłopakami. Myślały, że jadą gdzieś do pracy. Oczywiście poszły do obozowego burdelu, jak się później okazało, czyli do *puffu*.

ZYGMUNT ŚWISTAK

Pewnego dnia kazali nam rozebrać się do naga i paradować przed stolikiem, za którym siedział jakiś wysoki rangą esesman. Nazywaliśmy to w obozowym slangu „*Schwanzparade*”. Musieliśmy sznurem przechodzić koło tego esesmana i on wystawionym kciukiem wskazywał, kto w którym kierunku ma się udać. Przez przypadek znaleźliśmy się z bratem i ojcem w tej samej grupie. Pierwsza grupa wyjechała do Mannheim, do fabryki Daimlera-Benz. Tam też był obóz koncentracyjny. Nasza grupa pojechała do Frankfurtu nad Menem, również do obozu koncentracyjnego. Było nas około 1000 osób.

RYSZARD OLEK

Jeżeli ktoś był dobrze zbudowany – byliśmy z bratem wysportowani i ojciec też dobrze wyglądał – to go wybierali na komando. Myśleliśmy, że to nawet dobrze, że może będziemy pracować i jakoś to będzie. Naszą trójkę zakwalifikowali do transportu tysiąca więźniów dla Adlerwerke we Frankfurcie nad Menem. Tam przewieziono nas bydłecymi wagonami.

WŁADYSŁAW JAROCKI

23 września wypędzili nas na plac apelowy. Trzeba było się znowu rozebrać do naga. Stało tam kilku cywilów i dwóch oficerów SS, a my musieliśmy biec w ich kierunku. Tak jak w powieści *Chata wuja Toma*, kiedy wybierali niewolników... Tych młodszych, lepiej zbudowanych chłopaków kierowali „*Auf rechts*”, na prawo, a starszych – trzydziestoletnich na przykład – na lewo. Nas, wybranych, rozdzielili sobie ci panowie z koncernów. Mercedes-Benz wziął 1060 i Adlerwerke we Frankfurcie nad Menem też chyba tyłu... Mnie wybrali do Sandhofen, do produkcji zbrojeniowej przy taśmie Mercedes-Benz.



Mannheim-Sandhofen

Mannheim-Sandhofen,
grafiki autorstwa więźnia –
Mieczysława Wiśniewskiego
ZE ZBIORÓW KZ-GEDENKSTÄTTE
SANDHOFEN

KAJETAN KOSIŃSKI

Było tam okropnie, ale przyzwoitych cywilnych Niemców też spotkałem. Jeden z nich, Karl, czasem po kryjomu dawał mi kawałek chleba. Eskort niemiecka nie patyczkowała się z nami. Bili. Kiedy zobaczyli, że ktoś stoi i nie pracuje, to wtedy go kolbą! Tam cały dzień się pracowało, a na noc wracało się do szkoły, gdzie byliśmy zakwaterowani.

Kiedy nas prowadzili do pracy, człowiek się cieszył, jeśli znalazł na ścieżce jakiegoś ślimaka. Raz przechodziliśmy koło gospodarstwa i zobaczyłem psa przy budzie, a przed nim miskę z żarciem. Dopadłem do niej. Niemiec strzelił za mną, ale dobiegłem i złapałem miskę tego psa. Może strzelił na postrach, może nie chciał mnie trafić. Słyszałem jego pytanie: „*Bist du ein Hund?*” [Jesteś psem?]. Odpowiedziałem „*Ja*”.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Zakwaterowano nas w dwupiętrowym budynku szkolnym z poddaszem. Przed budynkiem był plac apelowy, teren ogrodzono siatką i drutem kolczastym. Tam otrzymałem numer 29807.

Zaraz następnego dnia poszliśmy do pracy. Poprowadzili nas pod eskortą do fabryki Mercedesa-Benza – około siedem kilometrów.

Zostałem przydzielony do małej frezarki, na której nacinałem rowki na śrubach pod śrubokręt.

Codziennie marsze do fabryki i z powrotem były bardzo męczące i nieprzyjemne. Mieszkańcy Sandhofen pluli na nas, wołali „Bandyci!”, „Świnie!” itp. Przy maszynie cały czas trzeba było stać – około 10 godzin – więc siły zaczęły nas coraz bardziej opuszczać. Początkowo wyżywienie było nawet lepsze niż w Dachau, zupa była trochę gęstsza, przydział chleba trochę większy. Jednak zaczęło nam bardzo dokuczać zimno, byliśmy wciąż tylko w tych pasiakach. Jeśli ktoś pod marynarkę wsadził jakiś papier, żeby było trochę ciepłej, a wartownik to wykrył, więzień był karany tzw. stójką albo żabką.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Tam na początku wycięli nam na głowie ścieżkę. Jeśli chcielibyśmy uciec w cywilnym ubraniu, spod każdej czapki cywilnej ta ścieżka byłaby widoczna. Pracowaliśmy dwanaście godzin na dobę. Siedem kilometrów trzeba było iść do zakładów Mercedesa-Benza i później z powrotem. Tak do czasu, kiedy 15 grudnia 1944 amerykański nalot dywanowy zniszczył ten obóz. Słyszeliśmy odgłosy znad Renu, że tam z dział strzelają... Ale to były odgłosy wolności! Nawet nie mieliśmy pretensji do Amerykanów, że są między nami ranni i zabici. Czuliśmy, że coś się dzieje, że tych Niemców wreszcie zniszczą.



NAMENS - LISTE
der Bauhelflinge.

Iden- nr.	Nr.	Name u.Vorname	Geburts- datum	Geburts- ort	Beruf	Nat.	Von wo überst.
1	70931	Arkita Henryk ✗	22. 7.22	Warschau	Arbeiter	Pole	Buchen- wald
2	70940	Arkita Josef ✗	12. 2.20	"	"	"	"
3	70941	Arkita Feliks ✗	8.10.12	"	"	"	"
4	71143	Antoniak Wincenty ✗	5. 4.97	"	"	"	"
5	71434	Aromi-niak Feliks ✗	18. 5.99	Wolica	Bauer	"	"
6	107449	✓Anlak Aleksander ✗	7.12.18	Warschau	Tischler	"	Dachau
7	70716	✓Bobrowski Stanislaw ✗	17.11.03	Przybyszew	Arbeiter	"	Buchen- wald
	70789	Bujak Wacław ✗	2. 8.07	Warschau	Schuhmach.	"	"
	70839	Bialobrzęski Władysław ✗	7. 8.09	Czerwin	Kutscher	"	"
10	70904	Buta Wincenty ✗	1.10.91	Rowne	Arbeiter	"	"
11	70926	Borowski Stanislaw ✗	12. 9.02	Podleeze	"	"	"
12	71003	Borejko Michal ✗	20.12.14	Lopuszany	Landarbeit.	"	"
13	71049	Babinski Henryk ✗	31. 7.09	Warschau	Weber	"	"

Katzbach

Lista więźniów podoboju Katzbach z 3 października 1944. Podane są numer więźnia, data i miejsce urodzenia, zawód, narodowość i obóz, z którego został przetransportowany do Frankfurtu nad Menem
ZE ZBIORÓW INTERNATIONAL TRACING SERVICE / BAD AROLSEN

JANUSZ GARLICKI

Pociąg przystawał, godzinami gdzieś tam stał na bocznicach i pod koniec drugiego dnia zatrzymał się wreszcie na głównej hali dworca we Frankfurcie. Potężne łuki, krzyżujące się po bokach i u góry, okienka oszklone, teraz ślepe. A pod nogami pięciocentymetrowa warstwa szkła. Widać było, że miasto jest poważnie zniszczone. Mieliśmy trochę takiej mściwej radości, satysfakcji. Jak wcześniej z wagonów oglądaliśmy Niemcy, to wydawały nam się schludne, słoneczne, nie-naruszone przez wojnę. A tu zobaczyliśmy, że ich kraj też można zniszczyć.

Przyjechaliśmy w sierpniu 1944 jako tzw. *Baukommando*, żeby odbudować po zniszczeniach dwie hale, do których przywieziono później tysiąc warszawiaków. Nowi przyjechali z Dachau. Śmierć ponad pięciuset pracowników Adlerwerke nie stanowiła dla zakładu żadnego problemu. Ani moralnego, ani technicznego... Po prostu skreślili ich i zażądali następnych. W połowie stycznia 1945 nadszedł nowy transport z Buchenwaldu. To była już taka zbieranina. Wśród nich było wielu ewakuowanych z Oświęcimia. Byli Ukraińcy, Rosjanie, głównie czerwonoarmiści. Było trochę Niemców, Francuz był jakiś, ale większość znów Polaków.

RYSZARD OLEK

W wagonach do Frankfurtu było za mało miejsca, a jechaliśmy trzy doby. Usiedliśmy, po 60 osób w wagonie, w kucki, jeden w drugiego. Nie wolno było się ruszyć, ubikacji też nie było. Powiedzieli nam: „Jak załatwicie się tutaj wewnątrz, to będziecie to zżerać”. Zamknęli wagon i nie dali ani kropli wody. Dojechaliśmy do Frankfurtu. Zaprowadzili nas do fabryki i najpierw umieścili w piwnicy. Tam byliśmy znowu prawie trzy doby bez picia. Stały beczki z jakimś śmierdzącym płynem, wszyscy bili się, żeby się do tego dostać. Czapkami, czym kto mógł, każdy starał się nabrać trochę tej wody.

Potem nas wypędzili na górę, na trzecie piętro, do hali, gdzie mieliśmy spać. Ale nic nie było przygotowane, wszystko zrujnowane po nalotach. Deszcz padał bez przerwy. Kazali nam zrobić z desek prycze. Nadal niczego nie było do jedzenia. Na górze dali tylko po pół litra kawy. Na dwóch więźniów dawali jeden koc. Po kilku dniach zapytali, co kto wcześniej robił – i podzielili nas na działy.

ZYGMUNT ŚWISTAK

Na miejscu wsadzono nas do piwnicy. Byliśmy napakowani w tysiąc ludzi w ciasnym pomieszczeniu, pod ziemią. Było mało powietrza. Do tego jeszcze czuć było stęchlizną. Tam ojciec zemdłał. Wybiegłem na korytarz, nie zważając na pilnującego Niemca z karabinem. Z beczki ze stęchlą wodą nabrałem do czapki trochę płynu i ocuciłem tym ojca. W tej piwnicy w Adlerwerke spędziliśmy trzy noce. Wreszcie zaprowadzili nas na górę fabryki, do hali, gdzie mieliśmy tymczasowo spać. Po bombardowaniach podłoga była w jednym kierunku pochyła i zbierała się woda. Dali nam po 3–4 deski i koc. Położyliśmy te deski na betonie i na nich spaliliśmy. Po kilku dniach urządzili dla nas inne miejsce, na trzecim piętrze. Stały tam już dwupiętrowe prycze z desek.

JAN KOZŁOWSKI

Zakłady Adlera to był duży kompleks budynków. Spaliliśmy i pracowaliśmy na tym samym terenie. Na dwór wychodziliśmy tylko wtedy, kiedy nas kolumnami przeganiali w pracy z jednego budynku do drugiego. Na czwartym piętrze była zburzona część dachu, mówiliśmy na to „taras”. Tam odbywały się apele i wtedy mogliśmy stamtąd dojrzeć trochę słońca i tory kolejowe.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Przywitał nas potężnie zbudowany więzień narodowości niemieckiej, z zielonym trójkątem, najprawdopodobniej złodziej albo bandyta. „*Ich bin Lagerältester «Bobby»*” [Jestem starszy obozu „Bobby”] – wyjaśnił i pokazał trzymaną w ręku drewnianą pałkę. Usłyszeliśmy od niego, ile takich pałek otrzyma ten, kto nie będzie posłuszny. Zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych prycz. Spotkaliśmy tam współwięźniów z Dachau, którzy zostali przywiezieni już

ADLERWERKE

VORM. HEINRICH KLEYER
AKTIENGESELLSCHAFT, FRANKFURT (MAIN)



114

ADLERWERKE (16) FRANKFURT (MAIN), POSTFACH 9000

Druckwert Adlerwerke Frankfurt/Main 041502 RBNr. 09075/0001
Fernschreiber 041502
Büf 70111 Fernverkehr 70291 Ortsverkehr
Reichsbank-Girokonto Nr. 454 Frankfurt (Main)
Postcheck Frankfurt (Main) Nr. 446

An die
KL.-Kommandantur
Natzweiler
(17b) Post Rotau

301

Ihre Zeichen 11.11.44 Unsere Nachricht vom 11.11.44 Unsere Zeichen H8/Kt Heutruf Nr. 206 Tag 18. Nov. 44

Betr. Forderungsnachweis Nr. 176/44

Unter den uns am 29.9.44 zugewiesenen 1000 Kz.-Häftlingen befinden sich 221 nicht einsatzfähige Arbeitskräfte. Von diesen wurden am 13.10.44 59 an das Lager Natzweiler wieder zurückgegeben. Nach Aussagen unseres Arbeitseinsatzingenieurs waren nach vorheriger Prüfung der Einsatzfähigkeit nur für die Arbeit brauchbare Häftlinge ausgesucht worden. Es müssen daher bei der Zusammenstellung des Transportes für unser Werk nachträglich noch Änderungen vorgenommen worden sein.

In dem Forderungsnachweis Nr. 176/44 vom 1. November 1944 für die Zeit vom 1.-31.10.44 wurden diese nicht einsatzfähigen Werker nicht berücksichtigt. Nach beiliegender Anlage belaufen sich die Kosten auf

RM 21 086.--
abzüglich Verpflegskosten " 4 588.80
RM 16 497.20

Wir bitten Sie, uns entweder einen neuen Forderungsnachweis einzusenden oder Gutschrift zu erteilen über den oben genannten Betrag. Nach Klärung der Differenz werden wir Ihren Forderungsnachweis sofort begleichen.

Heil Hitler!
ADLERWERKE vorm. HEINRICH KLEYER
Aktiengesellschaft

Klaus i. K. Köpfer

1 Anlage

Waffen-III
Kommandantur K. L. Natzweiler/Eta.
Eingang: 20. NOV 1944
[Stamp with initials and checkmarks]

Verstand: ERNST Hagemeyer, Vorsitzter - Otto Basso, Josef Schuman - stellv. Mitglieder: Franz Gessner,

18 listopada 1944. Sprawozdanie dyrekcji podobozy Katzbach do obozu głównego Natzweiler na temat kosztów wyżywienia więźniów i „rozliczenia” pomiędzy obozami ZE ZBIORÓW INTERNATIONAL TRACING SERVICE / BAD AROlsen

we wrześniu 1944. Opowiadali o strasznych warunkach panujących w Adlerwerke.

Do pracy zostałem przydzielony w hali, gdzie odbywała się obróbka kół napędowych gąsienic w wozach pancernych. Obowiązkiem moim i jeszcze jednego więźnia było załadowanie na dworze na wózek sześciu żeliwnych odlewów i przewiezienie ich pod taśmę produkcyjną, gdzie były poddawane obróbce. Po przewiezieniu szedłem do mojej maszyny, wiertarki wielowrzecionowej, gdzie trafiały koła już częściowo obrobione – i wierciłem kilka otworów jednocześnie.

RYSZARD OLEK

Dwóch współwięźniów esesmani powiesili, niby za sabotaż. Wyrok wykonali na naszym „tarasie”. Ci dwaj w niczym nie zawinili, spalili się im licznik i to nie była ich wina. Jeden z nich krzychał jeszcze: „Powiedzcie mojej matce, tatusiowi!”. Stryczki podczas egzekucji były źle założone. Kiedy esesman kopnął taboret, oni stanęli na palcach, bo sznury były za długie. Wtedy przyszedł jakiś Niemiec, szarpnął, a drugiego też przytrzymał, żeby w ten sposób w końcu ci dwaj się udusili. Musieliśmy się temu przyglądać.

KAJETAN KOSIŃSKI

Tam się nie patyczkowali. Jeśli pracowaliśmy w nocy, to w dzień nie raz dali nam tylko ze cztery godziny snu. Ciągłe były naloty i trzeba było biec do piwnicy, a potem wracać. Kiedy kilkuset ludzi po alarmie wchodziło po schodach, jeśli ktoś znalazł się z tyłu, to go czymś tam dźgali, żeby szedł szybciej. Ci Niemcy też byli zmęczeni i zdenerwowani.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Popadliśmy w marazm. Dla nas się nie liczyło nawet to, że trzeba się trzymać, by przeżyć... Wiedzieliśmy, że nie przeżyjemy. Dla nas było ważne, żeby tylko dzień przeżyć. Wieczorem myślało się: „Przeżyłem dzień. Zobaczmy, co będzie dalej”. To był jeden wielki ponury sen, niekolorowy, śmierdzący...

W tym centrum miasta ani ja, ani żaden z moich kolegów nie widzieliśmy słońca. Nas tam tylko przeganiali z hali, gdzie spaliśmy, na dół do hal do pracy i z powrotem. Mogliśmy rozmawiać tylko wtedy, kiedy piątkami szliśmy do pracy albo winda towarowa nas wiozła. Ale po pracy znowu nas liczyli. Bez przerwy liczyli, bo musieli się ciągle wykazywać przed władzami w Berlinie, ilu zmarło. Chociaż nie było ważne, że ktoś zmarł i leży. Wtedy było najważniejsze, żeby jego numer przepisać niebieską kredką na kartkę. Stan musiał się zgadzać. We Frankfurcie pod koniec umierało z wycieńczenia stu więźniów w ciągu miesiąca, czyli co dziesiąty mniej więcej. Dlatego ciągle uzupełniali. Odbywały się też egzekucje.

Zawołali nas raz niby do przyniesienia chleba. Zebrali całą grupę, akurat też w niej byłem. Zwieźli nas na dół, a tam były takie

półtrumienki zbite ze zwykłych desek i masa trupów – naszych kolegów. Trzeba było ich po dwóch upchać w tej półtrumienice. Brało się więc ich za nogi i za ręce... W Adlerwerke wyrywkowo do ładowania zwłok byli brani przypadkowi więźniowie, na kogo popadło.

ZYGMUNT ŚWISTAK

Kiedy prowadzili nas z obozu do pracy, bomba przewróciła jarzębinę. Złapałem wtedy dwa pęki, wsadziłem sobie do ust i starałem się jak najszybciej zjeść. Od Niemca dostałem w łeb za to, że się schyliłem. Ale zjadłem tę jarzębinę. Ktoś szedł koło mnie i mówił: „No, już chyba od tej jarzębiny to się na pewno wykończysz...”. Gdzie tam, nic mi nie było.

Niemcy przez to, że bili, popychali, szturchali, uderzali to w nerki, to w głowę, gdzie popadło, dawali mało jedzenia – przeistaczali każdą normalną osobę w zwierzę. Człowiek nie miał już siły woli. Śmierć to jest nic, nie znaczyła wiele. Życie w obozie koncentracyjnym było niezwykle trudne, a nie śmierć. Śmierć to był finał. Koniec. Człowiek już niczego więcej nie czuł.

Byliśmy wyzuci ze wszystkiego. Czy ktoś był profesorem na uniwersytecie, czy zamiatał ulice w Warszawie, wszyscy staliśmy się jednakowi. Nawet wyglądaliśmy jednakowo. Byliśmy szkieletami, z pomarszczoną skórą tylko na kościach. Twarze wszystkie były prawie jednakowe, bez włosów. Tylko oczy mógł mieć człowiek albo ciemne, albo niebieskie. To była jedyna różnica.

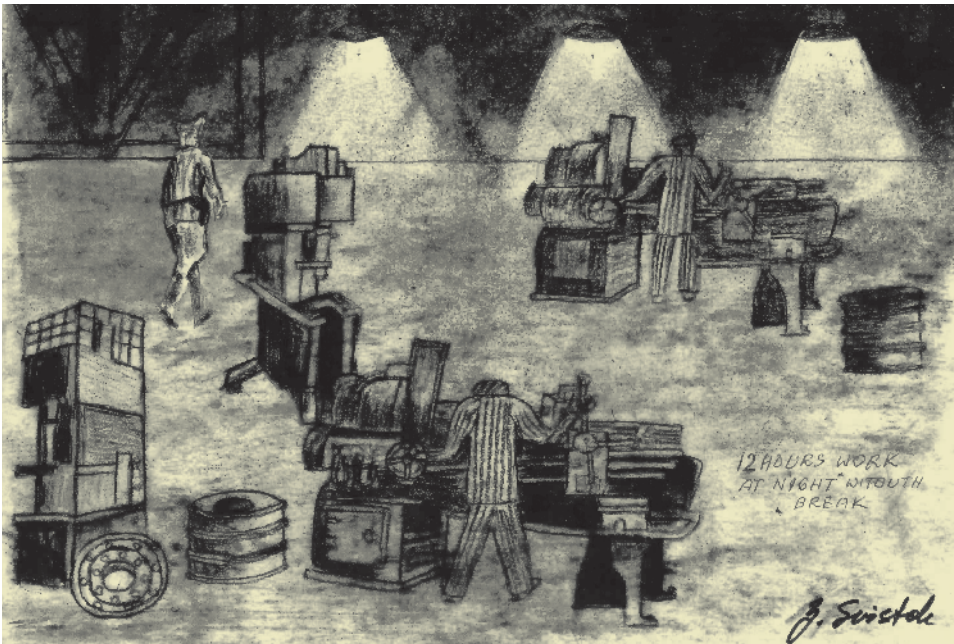
ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Nie myślało się tam o samym przeżyciu, ile o najedzeniu się. Człowiek w takich trudnych, ciężkich czasach jest jakby zamroczony. Wie, że musi wstać, iść do pracy, myśli tylko, żeby coś zjeść. Mówiłem sobie w duchu: „Wstań, zejdź po schodach, idź na halę, gdzie pracujesz i staraj się trzymać na nogach... I żeby ciebie nikt nie uderzył”. Myśli się wtedy tylko o jedzeniu – jaki jest smak chleba, ziemniaków – a nie o tym, co było.

JANUSZ GARLICKI

Raz dowiedzieliśmy się, że przyjedzie ważna inspekcja funkcjonariuszy SS. Szef kuchni Martin biegał, sprawdzał, kazał nam myć wszystko i wreszcie w niedzielę rano przystąpiliśmy do gotowania normalnej zupy. Martin wyciągnął ze swojego magazynu, do którego nikt nie miał dostępu, worki czy kartony z makaronem. Oczywiście nam w ślup stanęły. Jak te kluski się rozgotowywały, to Martin zabielił je mlekiem w proszku. Wciąż chodził przejęty, zaniepokojony – i nagle wypadł do miasta, wrócił po 15 minutach z kartonem pod pachą. Były to budynie, śmietankowe chyba. Zupa gęstniała. Ukradkiem podzeraliśmy trochę. To było przepyszne.

W końcu do kuchni weszli elegancko ubrani, przystojni, pachnący czystością oficerowie. Wszyscy staliśmy na baczność, Martin



Więźniowie podoboju
Katzbach przy pracy
ZE ZBIORÓW ZYGMUNTA ŚWISTAKA

i Hauptscharführer też. Rozejrzeli się, popatrzyli tu i tam, nawet niczego nie dotknęli. Jeden z nich zbliżył się do kotła, trzymając ręce z tyłu. Chciał spróbować zupy. Martin wziął chochlę, nalał odrobinę. Ten spróbował: „Gut, sehr gut”. Popatrzył na Hauptscharführera, ten spojrział na niego, mruknęli coś do siebie. Oni też dobrze wiedzieli, że uczestniczą w komedii.

WŁADYSŁAW JAROCKI

W Adlerwerke wszy zabijało się gołymi rękoma. Gdy się ściągnęło koszulę, to czarno było na całym ciele. Nie było kąpieli. Jeśli ktoś wykombinował jakąś butelkę po piwie, to się wieczorem na desce po koszuli tą butelką ciągnęło, żeby wszy rozgnieść.

To było straszne upokorzenie, bo właściwie straciłem wszystko. Zostały mi brwi i rzęsy tylko. Nic poza tym. Nawet ciało ze mnie zeszło. Że matka, brat, ktoś bliski istnieje, że jest ojczyzna... to wszystko schowało się za jakąś gęstą zasłoną, w mgłę to wszystko zostało, bez świadomości... Nie mieliśmy też czasu na rozmyślania. Ciągłe było „*antreten, aber schneller!*” [ustawić się, szybko], bez przerwy był wrzask, krzyk, bicie, gonienie i praca. Byliśmy w amoku takim, że nie można było przez moment pomyśleć o czymś logicznie, bo wszy gryzły w tym momencie, bo zimno i głód dokuczały...

Rozdzielanie chleba to był rytuał. Sami kroiliśmy. Jeden stawał z tyłu, brał w rękę odcinek, a ten, który miał dostać chleb, losował kawałek. Dobrze było trafić taki wyjedzony przez szczury. Często taki bochenek był od szczurzej śliny zielonkawy. Wtedy szło się do kapo

i mówiło: „Patrz, dostałem mniejszy kawałek chleba, nadgryziony przez szczury”. Na to on dodawał kwadracik z jakiegoś normalnego chleba. Zawsze jednak ten kwadracik był większy niż ta wygryziona dziura.

RYSZARD OLEK

W Adlerwerke był też wśród nas polski chiromanta – Akhara Jussuf Mustafa. Prędko rozniosło się to wśród więźniów, a potem też i innych. Wróżył z ręki nawet majstrom i niektóre sprawy się sprawdzały.

Raz nas zabrali do takiej mykwy, ale to była farsa, a nie mycie. Mykwa znajdowała się w mieście, pędzili nas tam w obstawie. Na miejscu w piwnicy kazali się rozebrać do naga, a mróz był siarczasty. Ubrania wzięli rzekomo do dezynfekcji. Kilkuset nas tam czekało na swoją kolej. Brali po dziesięć osób do mycia. Ale to nic nie pomogło. Wszy były dalej. Co to też było za mycie, skoro mydła nie dali? Kilku tam wtedy umarło. Musieliśmy ich koniecznie odnieść do obozu, żeby stan się zgadzał. Nieśliśmy ich potem w kocach przez miasto. Na poboczach widać było jakichś ludzi, musieli widzieć, jak wyglądamy, że niesiemy te zwłoki.

ZYGMUNT ŚWISTAK

Komendantem obozu był Oberscharführer [Erich Franz]. To był okrutny człowiek. Widziałem go, jak katował więźniów. Kiedyś ogłoszono alarm przeciwlotniczy i kilku kolegów schowało się pod łóżka, zamiast schodzić na dół. Te alarmy były strasznie męczące. Ja też się wtedy schowałem. Ich znaleźli, a po mnie przesunęło się światło lartarki, nie dojrzeli mnie tam. Widziałem, leżąc na podłodze, tylko ich nogi i tego najbliższej mnie, którego katowali. Bili go takimi ołowianymi kablami, które po bombardowaniach wszędzie zwisały. Komendant uciął kawałek, jakieś pół metra, i tym bił, albo deską z łóżka. Nie widziałem, żeby któryś z nich potem wstał.

Jeśli chodzi o pracowników cywilnych, to tam pracowali raczej tylko starsi Niemcy. Młodszy byli na froncie. Ten, który zajmował się naszymi maszynami, wcale nie był złym człowiekiem. Nawet nam pomagał, jeśli się tylko dało. Na przykład na maszynie, na której pracowałem, wszystko trzeba było wykonywać precyzyjnie. W ten sam sposób musiałem zrobić dziennie dwanaście dużych kół – co godzinę jedno. Raz popsulem chyba z sześć tych kół. Zauważył to Niemiec, który ostrzył noże. Widocznie było mu mnie żal. Podszedł, odrzucił te koła na bok. Ale esesmani się tym zainteresowali. „A co to jest?” – spytali. Wiedzieli, że to musi być popsute. A on na to, że nóż nie był dobry. Na to esesman i tak podszedł do mnie, dał mi w głowę, kolanem rąbnął w nerki.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

W hali, w której pracowałem, w oddzielnym, oszklonym pomieszczeniu urzędował esesman. Mówiono na niego „grosmajster”.

Chodził w czarnych spodniach i brunatnej koszuli, a na rękawie nosił opaskę ze swastyką. Moim majstrem był Niemiec, niski starszy mężczyzna na krzywych nogach. W porównaniu z innymi był on całkiem dobry. W tym okresie we Frankfurcie panowała już bieda. Majstrowie niemieccy na śniadanie przynosili sobie dwa–trzy bardzo cienkie kawałki chleba z margaryną lub marmoladą. Mój majster czasami zostawiał mi na maszynie kawałek chleba i mówił, żebym wziął, kiedy grosmajster nie będzie patrzył. Sam też się go obawiał. Majster powiedział mi kiedyś, że jego dwaj synowie zginęli na froncie wschodnim. Być może przypominali mu się oni, kiedy na mnie spoglądał.

RYSZARD OLEK

Cywilni Niemcy widzieli, co się z nami dzieje, ale też się bali. Reagowali różnie. Jedni byli bardziej wrażliwi, inni mniej. Zdaje się, że mój majster był Ukraińcem. Po niemiecku mówił z wyraźnym akcentem. Miał przyjemną twarz. Kilka razy przyniósł mi jakąś kanapkę. Zostawiał mi na maszynie. Brałem od niego tę kanapkę i zanosilem na izbę, żeby się podzielić z bratem i z ojcem.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

„Bobby” nie musiał pracować w fabryce. Jego zadaniem było pilnowanie nas w hali, w której spaliśmy. Bił więźniów bez żadnego powodu. A miał krzepę, wyglądał jak na więźnia bardzo dobrze. Powodziło mu się, bo rozdzielał jedzenie.

Ja także kiedyś od niego dostałem. Z którymś kolegą musieliśmy przeladować koła napędowe do gąsienic pojazdów pancernych. Przy ładowaniu ich na wózek, jedno z kół upadło mi na piętę i zrobił mi się ogromny krwiak. Mój majster zobaczył to i poradził mi, żebym przez kilka dni nie przychodził do pracy. Zgłosiłem się do Lagerältestera i pokazałem mu stopę, ten się zgodził, żebym został w hali.

Następnego dnia pokuśtykałem na apel, później położyłem się na pryczy. Kiedy „Bobby” zobaczył mnie leżącego, podszedł i zapytał, co tam robię. Przypomniałem mu, że boli mnie noga i pozwolił mi nie pracować. Wtedy zaczął krzyczeć, wyrwał deskę z pryczy i zaczął mnie nią bić. Zamachnął się, żeby uderzyć mnie w głowę. Uciekałem przed jego ciosami między pryczami i wyskoczyłem na schody. Nie mogłem już więcej chorować. Wołałem chodzić do pracy.

RYSZARD OLEK

Jak był alarm, musieliśmy szybko zbiegać na dół, nieraz kilka razy na dobę. Jeśli ktoś się potknął, gromada zawsze kogoś stratowała. Wtedy też ten kapo łapał niektórych za klapę i rzucał na ścianę, pękała czaszka... Potem mówił, że więzień „na serce zmarł”. Potrafił dziennie kilku więźniów załatwić. Któregoś dnia na tych schodach złapał mojego ojca. Wtedy do niego doskoczyłem i powiedziałem, że pójdę do szefa i powiem, co chciał zrobić, że nie ujdzie mu to płazem.

Więźniowie podczas alarmu
przeciwlotniczego
ZE ZBIORÓW ZYGMUNTA ŚWISTAKA



Nie wiem, skąd miałem tyle odwagi. Rzeczywiście poszedłem do esesmana, a ten – o dziwo – mnie wysłuchał. Zawołał do siebie tamtego sadystę. Potem esesmani ustawili się z dwóch stron i strasznie go zbili. Oczywiście, dowiedział się, że to ja poszedłem na skargę. Złapał mnie później i powiedział: „Jak tylko będę miał okazję, to oczy ci wydłubię, a ciebie na kawałki potnę”. Przez cały czas, a było nas tam ponad tysiąc osób, starałem się jakoś ukrywać przed nim, bo wiedziałem, że on tylko szuka okazji...

JANUSZ GARLICKI

W wieczór wigilijny wróciliśmy z kuchni późno. Mieliśmy tam dużo roboty. Sala już była ospała. Przysiadłem się do grupy na ławkach ustawionych wokół żelaznego pieca, który dawał trochę ciepła. Były dwa takie piece na całą halę. Wszyscy patrzyliśmy, jak jeden z więźniów kroił surowe, nieobrane kartofle i plasterki przyklejał do tej blachy. Pilnował, by żaden nie spadł, żeby mu nikt ich nie porwał. I w pewnej chwili usłyszałem coś, co mnie targnęło. Z dała przybliżył się śpiew! Wyodrębnił się z gwaru i nagle rozpoznałem melodię: „Bóg

się wam rodzi...”. Od końca sali kolejno inni podejmowali melodię i zaczęliśmy wszyscy śpiewać. Było tam osiemset–dziewięćset osób, wydawało się, że pękają mury. Wtedy każdy śpiewał, daleko od domu, o swojej tęsknocie, o bólu, o naszym losie, o wspólnocie tego losu.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Kiedy widzieliśmy tory kolejowe pozrywane, później nalot na fabrykę, że alianci się zbliżają, armia generała Pattona idzie w tym kierunku, że już wojska alianckie wylądowały w Europie, to zrozumieliśmy, że zbliża się wolność. To były momenty, które nas ożywiały. Ale za chwilę był wrzask, liczenie, bicie, praca i znowu wracaliśmy do rzeczywistości.

JAN KOZŁOWSKI

To było na początku lutego 1945. Uciekłem z fabryki w czasie godzin pracy. W hali stały frezarki, a z boku było wejście do toalety. W toalecie po nalocie brakowało kawałka muru w ścianie i dlatego zabezpieczono ten mur z góry do dołu siatką. Wszedłem do toalety i zobaczyłem opartą o ścianę dużą szynę żelazną, jak na placu budowy. Wyjrzałem przez siatkę na zewnątrz i wyobraziłem sobie, jak można by się zsunąć po tej szynie na dół. To było na drugim piętrze. Rzeczywiście wyszedłem przez tę dziurę na zewnątrz i ześliznąłem się na dół po szynie.

Było bardzo wcześnie. Jeszcze było ciemno, dopiero zaczynaliśmy pracę. Kiedy byłem już na zewnątrz, wiedziałem, w którą stronę powinienem iść. Gdy nas prowadzili kiedyś do mykwy, zapamiętałem, że w pobliżu są ogródki działkowe i stoją jakieś altanki. Dotarłem do tych ogródków i wszedłem do jednej z altan. Była zima. Nikogo nie było. Najpierw szukałem czegoś do jedzenia. Niczego nie znalazłem. Leżały tam tylko karty do gry, różne szpargały i między nimi zapalki. Te zapalki machinalnie wziąłem ze sobą. Opuściłem tę altanę.

Myślałem, że może uda mi się znaleźć jakieś zajęcie jako robotnik przymusowy i jakoś przetrzymam. Wiedziałem, że lepiej iść czym prędzej przed siebie, by uciec jak najdalej. Szedłem drogą wzdłuż lasu. Po kilku kilometrach zobaczyłem drewniany, nieduży ogrodzony barak. Pomyślałem – wejdę. Na śniegu nie było żadnych ludzkich śladów. Wszedłem przez siatkę, jeszcze miałem tyle siły. Pomieszczenie w baraku było niewielkie. W niedużych skrzynkach znalazłem tam fasolę i groch do zasiewu. W kącie stał mały, okrągły piecyk. Rozpaliłem ogień, bo przecież miałem zapalki. W herbacianym pudełku ugotowałem fasolę. Zjadłem i sen mnie zmorzył. Trochę się zdrzemnąłem. A potem rozpalilem ogień i spaliłem swoje pasiaki.



Marsz śmierci

Droga do Dachau
ZE ZBIORÓW ZYGMUNTA ŚWISTAKA

ZYGMUNT ŚWISTAK

Do obozu Natzweiler-Vaihingen dojechałem w wigilię Bożego Narodzenia 1944. Vaihingen to był obóz śmierci. Posyłali do tego obozu tych, którzy już się nie nadawali do pracy. Szalał tam tyfus plamisty i krwawa dyzenteria. Kiedy Francuzi i Amerykanie zbliżali się do Vaihingen, to tych z nas, którzy jeszcze byli na nogach, ustawili piątkami i popędzili na stację kolejową. Jeden drugiego podtrzymywał, nikt nie mógł iść o własnych siłach. Kolega, który szedł obok mnie, potknął się i upadł, nie udało mi się go przytrzymać. Niemiec go zastrzelił. Wtedy też poczułem trochę ból w nodze, ale musiałem iść dalej. Nie zauważyłem, że jestem postrzelony.

Niemcy znowu władowali po sto osób do wagonu i wyruszyliśmy w stronę Dachau. Po drodze ostrzeliwali nas, spadały bomby, staliśmy czasami gdzieś bez ruchu przez dzień czy dwa. W wagonie panował niesamowity zaduch. Przybywało nieżywych. Leżałem gdzieś tam na spodzie i też myślałem, że nie żyję, bo miałem tylko świadomość jakąś mglistą. Może to, że leżałem pośrodku i na dole, uratowało mnie. Kiedy do pociągu strzelano, to posiekało tych, którzy leżeli na zewnątrz. Do mnie żadna kula nie doszła.

Po wielu dniach dojechalśmy wreszcie do KL Dachau. Otworzono wagon. Esesmani mieli na twarzach maski z gazy, bo odór był straszny. Pytali się po niemiecku, czy ktoś jest żywy. Ktoś się odezwał, zaraz potem usłyszałem wystrzał. Kiedy więc krzyczeli jeszcze raz, kto tam żyje, już się nie odzywałem. Więźniowie podjechali z platformami na dyszlu, by zabrać zwłoki. Zaczęli na te platformy ładować trupy, żeby je zawieźć do krematorium. Mnie tak samo wzięli i rzucili na tę kupę. Widocznie jednak jakiś Niemiec coś zauważył, musiałem się poruszyć. Usłyszałem, że ktoś podchodzi, szura, a potem poczułem straszny ból w kroku. Na tym się skończyło. Zawieźli mnie przed krematorium, rzucili na kupę z trupami.

Kiedy nadeszła noc, wyczołgałem się i poszedłem do najbliższego baraku. Więźniowie w ogóle się mną nie interesowali. Myślę, że było im to obojętne. Byliśmy wszyscy w takim zwierzęcym otępieniu. Na drugi dzień Niemcy dwa razy liczyli na apelu, bo zauważyli, że jest o jednego trupa mniej albo o jednego więźnia więcej. W końcu uznali, że rachunki się nie zgadzały i na tym się skończyło. W ten sposób udało mi się uratować życie.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Pewnej nocy pod koniec marca 1945 usłyszeliśmy alarm przeciwlotniczy. Zeszliśmy do piwnicy. Po kilku godzinach odwołano alarm, ale nie poszliśmy do naszej „sypialni”, lecz na podwórze fabryczne. Apel i znów wymarsz w nieznaną. Szliśmy przez cały dzień, wieczorem zatrzymaliśmy się na jakiejś łące. Esesmani okrążyli ją, a my byliśmy w środku. „Wszyscy kłaść się!” – krzyczeli. Każdy z nas miał swój koc. Kładliśmy się po pięciu, dwa koce składaliśmy na ziemi, a trzema się przykrywaliśmy. Rano na pierwszym kocu od góry był biały szron.

Gdy tak nas pędzili, za nami było słychać odgłosy armat i karabinów maszynowych. Ewakuują nas przed frontem nacierających Amerykanów – sądziliśmy. Dlaczego nas nie zostawia, tylko wycieńczonych pędzą nie wiadomo dokąd? Pewnego ranka dwóch kolegów z naszej piątki nie podniosło się – zmarli w czasie snu.

Któregoś dnia szliśmy przez miasto Fulde. Przed kościołem stała grupa jeńców wojennych, Anglików albo Amerykanów, pilnowanych przez Wehrmacht. Patrzyli na naszą kolumnę półtrupów, nie wiedzieli, kim jesteśmy, ale coś wołali, zaczęli rzucać w naszym kierunku żywność. Esesmani, którzy nas eskortowali, strzelali w górę i krzyczeli, żeby nam niczego nie dawali.

JANUSZ GARLICKI

W marcu 1945 widzieliśmy już, że wywożą maszyny z zakładu, niektóre działy już nie pracują, że koledzy niektórzy nie mają co robić. Czekaliśmy na wiosnę niecierpliwie, z nadzieją. Z taką niecierpliwością czekają ptaki na czas odlotu. Sama ewakuacja obozu nastąpiła nagle. 24 marca 1945, to była sobota, dżdżysty dzień. Nagle Martin wpadł do kuchni w pełnym wyposażeniu: karabin, szynel. „Los!” Wychodzimy.

I nic nie mogliśmy zrobić. Jeszcze porwałem kuchenny fartuch gumowy. Przed kuchnią był zaraz zjazd do windy, stały tam wózki transportowe na gumowych kołach, z dyszlem. Jeden wózek pełen chleba, a na drugim tornistry esesmanów. Zjechaliśmy z wózkami na dół, wszyscy inni zeszedli pieszo. Stanęliśmy na czele kolumny. Mieliśmy pchać te wózki. Ja się dobrałem do tego z chlebem, myślałem, że po drodze uda mi się wcisnąć pod plandekę i kawałek chleba podskubać. I poszliśmy. Było późne popołudnie, zmrok już właściwie. Frankfurt był ponury. Miasto ślepe, zaciemnione, puste. Głuche jak martwy potwór – i myśmymy w nim. Myślałem wtedy, że jakoś pasujemy do tego tła.

Wyszło nas z Frankfurtu około 350, a doszło do Buchenwaldu może 270. Kilkudziesięciu rozwalili po drodze.

WŁADYSŁAW JAROCKI

Któregoś dnia zrobili „Antreten” i powiedzieli krótko, że będzie ewakuacja obozu. Ci, którzy mogą iść, będą szli piechotą do Buchenwaldu. Natomiast ci, którzy nie mogą iść, pojedą wagonami kolejowymi. Komu mogłem z kolegów, od razu powiedziałem: „Słuchajcie, to niemożliwe, by Niemcy jednych wieźli wagonami, a drudzy żeby szli piechotą. Ja będę szedł”. Później okazało się, że dobrze wybrałem.

Kiedy nas wtedy popędzili, zobaczyłem, jak Frankfurt wygląda. Płonął. To był wieczór. Do kolumny dołączyli jeszcze dwie platformy z dyszlem. Ci, którzy się gorzej czuli, byli na tej platformie. Akurat mnie wybrali do dyszla. Myślałem sobie: długo tak nie dam rady. Na pierwszym postoju wcisnąłem się w ustawionych piątkami. Kiedy doszliśmy do drugiego postoju, usłyszałem serię z karabinu maszynowego. Wszystkich na tych platformach esesmani załatwili, a tych przy dyszlu przy okazji też.

RYSZARD OLEK

Cały czas padalo, deszcz ze śniegiem. Na jednym postoju była stodoła. Tam stanęliśmy – ojciec, brat i ja. „Bobby” mnie tam wypatrzył. Jak się ucieszył... „*Polnisch Bandit*, no nareszcie.” Powiedziałem do brata: „Odsuńcie się, bo on mnie chce teraz zabić”. Kapo zaśmiał się, wyjął coś na kształt bagnetu. Całe życie przeleciało mi przed oczyma. Pomyslałem: oprę się o ścianę stodoły, może go kopnę. Za plecami trzymałem menażkę – była żelazna, dosyć mocna. Już miał mnie uderzyć, a wtedy trzasnąłem go tą menażką w głowę. Trafiłem w skroń, zachwiał się, a ja prędko schowałem się w jakimś sianie. Zaraz esesmani przyszedli mnie szukać, ale w końcu dali sobie spokój. Potem, wśród tysiąca więźniów pędzonych dalej nocą, nie mógł mnie już tak łatwo odnaleźć, bo wszyscy wyglądaliśmy prawie identycznie.

Brat złapał tyfus, a oni pędzili nas w strasznym tempie. Tych, którzy z tyłu nie mogli dotrzymać kroku, zabijali. Ta zraniona noga pu-chła i brat nie mógł iść. Powiedział do mnie: „Zostaw mnie, niech mnie zabiją, ja już dalej nie mogę iść”. W tym momencie podszedł esesman: „*Krank? Krank?*” [Chory?]. Zabrał go i zaraz usłyszałem wystrzał.

Niedaleko Flossenbürga ojciec też nie mógł już iść. Wiedziałem, że zwalniamy, a jeśli nie będziemy z przodu, to zaraz nas zastrzelą. Esesman już zresztą nas obserwował, nie spieszył się, tylko czekał, żebym ojca zostawił. Wtedy powiedziałem ojcu, żeby chwycił mnie za szyję i tak go ciągnąłem. Nie wiem, skąd nagle te siły we mnie wstąpiły. Sam też nogi podciągałem rękoma – były pełne wody i nie mogłem nimi poruszać. Wciągnąłem ojca we Flossenbürga na górę.

ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI

Kawałek do Buchenwaldu szedłem na przedzie kolumny, żeby nie musieć oglądać tego piekła, które działo się za mną. Pewnego dnia wolno przejeżdżała obok nas kolumna pojazdów Wehrmachtu, w tym samym kierunku, w którym my szliśmy. Mój kolega, Szymek z Powiśla, nie wytrzymał napięcia i wskoczył na jedną z mijających nas ciężarówek. Esesman, który był najbliżej, strzelił kilkakrotnie z karabinu. Szymek zabity spadł z ciężarówki. Kto szedł za wolno, nie miał siły iść dalej, kładł się do przydrożnego rowu, a najbliższy esesman strzelał do niego.

Przed drugim marszem śmierci, do Dachau, więźniowie własnoręcznie zabili „Bobbiego”. Widziałem to na własne oczy, byłem w tej samej grupie w myjni i odwszalni.

Traciłem coraz bardziej siły. Męczyło mnie niewyobrażalne pragnienie. Przechodziliśmy przez mostek, pod którym płynął mały strumyk. Nie mogłem już wytrzymać i rzuciłem się w jego kierunku. Było mi wszystko jedno, co się stanie. Usiłowałem nabrać trochę wody do miski. Nagle zostałem uderzony w plecy i w głowę. Ciosy były tak silne, że kolba karabinu esesmana pękła! Wpadłem do strumyka i na szczęście oprzytomniałem, bo woda była bardzo zimna. Koledzy pomogli mi szybko stanąć na nogi i wciągnęli mnie do kolumny. Wszyscy byliśmy bardzo podobni do siebie, więc esesman nie mógł mnie już między nimi odnaleźć. Miałem wielkie szczęście, bo pod myką czułem tylko ogromnego guza.

WŁADYSŁAW JAROCKI

W części tego marszu śmierci wpakowali nas do wagonów bydłowych, które doczepiali do transportów wojskowych. Wreszcie wylądowaliśmy w Buchenwaldzie. Kiedy z wagonu kazali nam wyskakiwać, wszyscy upadali na twarz, bo nogi nie wytrzymały.

Powiedziałem, że nie idę dalej, że mam sztywną nogę i zostaję. Armia generała Pattona już się na szczęście zbliżała. Pomyślałem, niech mnie tam esesmani wykończą już w tym Buchenwaldzie. Już pierwsze bloki rozwalali, ale następnych nie zdążyli i to mnie uratowało.

KAJETAN KOSIŃSKI

Prowadzili nas już kilka tygodni w tym transporcie, byłem tak chory, że przy jakiejś wiosce padłem i nie mogłem już iść. Koło mnie jeszcze

sześciu współwięźniów padło. Na pewno dwóch Polaków, jakiś Niemiec, Holender. Esesmani zazwyczaj takich na miejscu rozstrzeliwali. Po nas też przeleciał taki automatem, kula raniła mnie w rękę. Nagle przestał strzelać. Okazało się, że nadjechało auto, półciężarówka. Każdemu z nas dali paczkę z Czerwonego Krzyża. Transport poszedł dalej, my zostaliśmy z tymi paczkami, a z nami dwóch Niemców. Zorganizowali wóz, bali się i przestali strzelać. Wywieźli nas trzy kilometry dalej i wsadzili do stodoły, gdzie była sprasowana słoma. Spokojnie mogli nas tam podpalić, ale jednak zostawili w spokoju i odjechali. W stodole spędziliśmy całą dobę.

Na drugi dzień wyszedłem na chwilę i zobaczyłem dwóch Niemców przed stodołą, jeden miał pancerfausta. Szosą tymczasem jechała masa amerykańskich czołgów. Jeden z tych Niemców strzelił w kierunku Amerykanów, ale źle wymierzył i zaraz uciekli. Amerykanie się wycofali. Potem wywiązała się strzelanina, trwała ze dwie godziny. Po kilku godzinach pokazali się Amerykanie. Tak zostałem wyzwolony.

RYSZARD OLEK

Padał deszcz, esesmani byli pod płaszczami, ale zawsze mieli automaty w pogotowiu. Zabijali bez przerwy. Ludzie uciekali, już nie wytrzymywali. Całe rowy były pełne trupów. Przeszedłem z boku i pytałem, kto zna niemiecki i chce ze mną uciekać. W końcu jeden się zgodził. Powiedziałem mu, że uciekniemy, kiedy zacznie intensywniej padać, a w pobliżu będzie las. Umówiliśmy się, że dam sygnał, kiedy mamy skakać przez rów. Gdy deszcz zaczął mocniej padać, powiedziałem: „Teraz, uważaj!”. Ale kiedy skoczyłem, przewróciłem się, nie miałem już siły. Tamci widocznie myśleli, że mnie zabili. Kolega też upadł. Kolumna poszła dalej, a my przeczolgaliliśmy się do lasu.

W lesie ukrywałem się jeszcze dziewięć dni. Żywiłem się runem leśnym i garścią żyta, którą miałem w kieszeni. Już nie chodziłem, tylko się czolgałem. W końcu pomyślałem, że wyjdę, bo inaczej będzie po mnie. Wyczolgałem się na pole, a tam rolnik niemiecki sadił chyba kartofle. Przestraszył się, wyglądałem przecież makabrycznie. Potem jednak pokazał mi gestami, że Niemcy się poddały.

WŁADYSŁAW JAROCKI

To był najważniejszy dzień w moim życiu, dzień, w którym odzyskałem wolność [w Buchenwaldzie]! Do dziś go obchodzę: 12 kwietnia 1945. Dzień wolności wszystkich narodów, bo tam byli Czesi, Rosjanie, Niemcy, Polacy i inni. Wszyscy wyszliśmy na plac apelowy. Na szubienicy już wisiała kukła Führera. Amerykańska flaga na bramie obozowej była do połowy masztu ściągnięta, bo Roosevelt akurat zmarł. Byliśmy wolni. Wróciliśmy do własnego nazwiska i imienia.

KAJETAN KOSIŃSKI

To był dylemat: wracać do Polski czy nie? Wielkie dyskusje się odbywały. Byłem w szpitalu w Murnau. Tam przebywali też polscy

oficerowie, jeszcze z 1939 roku. Zdania wśród nas były podzielone. Jedni chcieli wracać, inni nie. Argumentowali, że w Polsce jest teraz komuna i rządzą bolszewicy. Od ciągłych dyskusji puchła głowa. Wróciłem do Polski dopiero w listopadzie 1945, bo długo leżałem w szpitalach. Wykurowałem się z tyfusu, ale organizm był wyniszczony. Kiedy mnie pierwszy raz wazyli w szpitalu, to waga wykazała dwadzieścia siedem kilogramów!

WŁADYSŁAW JAROCKI

Ciężko było podjąć decyzję o powrocie. Któregoś dnia wołają nas do kasyna i mówią, że oficerowie rządu londyńskiego przyjechali. Patrzymy: stół zielony, są polscy oficerowie. Oczywiście orły, mundury... Mówią: „Nie wracajcie do kraju, bo kraj to komuniści, Rosjanie...”. Jedni z nas biją na to brawo, drudzy gwizdzą. Za trzy dni: „Uwaga, uwaga, bloki polskie! Przyjechali oficerowie rządu warszawskiego”. Idziemy na zbiórkę. Oficerowie rzeczywiście są, tylko może inne orły, mundury te same. „Nie jedźcie na Zachód, wracajcie do kraju. Odbudujecie ten kraj, bo to jest Polska. Macie tam rodziny, swoje kościoły”. Więc znowu jedni gwizdzą, drudzy biją brawo.

RYSZARD OLEK

Zgłosiłem się od razu do wyznaczonego amerykańskiego punktu, gdy tylko dowiedziałem się, że jest organizowany transport do Polski. Wróciłem do Warszawy na ulicę Twardą 22, a tam – wszystko spalone. Ojciec od frontu domu miał swój zakład, tam też znalazłem karteczkę: „Mieszkamy na Fabrycznej, tatuś wrócił”.

Abschrift

Betriebsrat der ADLERWERKE
vorm. HEINRICH KLEYER A.G.

Vorsitzender: Karl Rehkopf

Betrifft: K.Z.-Lager Natzweiler, Zweigstelle Katzbach

Untenstehende Angaben mache ich ohne jede Gewähr, aus eigener Wahrnehmung und aus Rückfragen im Betrieb.

a) Das Lager Katzbach wurde im August 1944 errichtet
Lagerkommandant Oberscharführer F r a n z.

b) 1592 Mann verschiedener Nationalitäten, hauptsächlich
Polen, Deutsche, Litauer u.a.

Zugewiesen wurden uns:	am	22.8.1944	-	200	Mann
	"	29.9.1944	-	1000	"
	"	26.1.45	-	167	"
	"	1.2.45	-	225	"
		Gesamt	-	1592	Mann

c) Die Gefangenen wurden mit Maschinenarbeiten, Transport- und Aufräumungsarbeiten bei Fliegerschaden eingesetzt.

d) am 21.3.45 sollen 400 Mann nach Buchenwald
am 24./25. März 1945 474 Mann nach Buchenwald zurückgeführt
worden sein. (Siehe beifolgenden Bericht)

e) Durch Fliegerangriff tödlich verletzt oder später durch Flieger-
angriff gestorben - 62 Mann
an TB und anderen Krankheiten gestorben 397 Mann
Grabstätten befinden sich auf dem Israel-Friedhof, Pfim., Ecken-
heimerlandstrasse.
Sterbe-Register und Namenverzeichnisse usw. sind keine vorhanden.

f) Ueber das Schicksal der Kommando-Akten ist mir nichts bekannt,
wahrscheinlich sind diese Akten alle vernichtet.

Das Lager wurde im August 1944 errichtet auf Veranlassung versch. Haupt-
anschnüsse, da der Betrieb zur Erfüllung seines Liefer-Programmes
800-900 Arbeitskräfte benötigte, die jedoch durch das Arbeitsamt nicht
zu bekommen waren.

Es wurde der Firma das Ansinnen gestellt Häftlinge aus KZ-Lager einzu-
stellen.

Der Arbeitseinsatz-Ingenieur Heitlinger wurde beauftragt in Buchenwald
und Dachau evtl. aus anderen Lager geeignete Leute für unser Werk
auszusuchen. Es wurden uns aber nicht die ausgesuchten Männer zugewiesen
sondern es befanden sich unter diesen Leuten sehr viel Kranke und
Unterernährte, die fast nicht zum Arbeitseinsatz kommen konnten, sodass
ein Teil bald wieder dem Stammlager zurückgegeben werden musste.

Bis zum 9. oder 10. März 1945 waren bei uns noch 874 Mann im Arbeits-
einsatz. Durch den Mangel an Energie, Material, Transportmittel waren
die Häftlinge nicht mehr zum Einsatz gekommen. Es wurden deshalb
400 oder 480 Mann durch die Reichsbahn mit Waggons an das Stammlager
abtransportiert.

Die Verpflegung der Häftlinge erfolgte durch das Lager selbst.

Die Belegschaftsstärke des Arbeitskommandos Katzbach war folgende:

/ b.v.

Sprawozdanie dotyczące działalności obozu i „statystyk” więźniów,
sporządzone przez Radę Zakładową Adlerwerke 6 sierpnia 1947

ZE ZBIORÓW INTERNATIONAL TRACING SERVICE / BAD AROlsen

ŚWIADKOWIE



JANUSZ GARLICKI (1923–2015) – przed wybuchem Powstania Warszawskiego pracował w rzeźni miejskiej na Pradze. Aresztowany 7 sierpnia 1944, trafił do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, a stamtąd do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. 24 marca 1945 wyszedł z Frankfurtu w „marszu śmierci” przez m.in. Buchenwald i Flossenbürg. Podczas marszu uciekł razem z Ryszardem Olkiem i doczekał wyzwolenia. Po wojnie trafił do Włoch, później do Anglii. Do Polski wrócił w czerwcu 1947. Pracował jako redaktor „Gazety Pomorskiej”. Opublikował m.in. wspomnienia *Spóźnił się pan, generale Patton* (Bydgoszcz 2010).



WŁADYSŁAW JAROCKI (ur. 1920) – technik radarowy, żołnierz Armii Ludowej, powstaniec warszawski. 6 września 1944 deportowany do Dachau, stamtąd do Mannheim-Sandhofen, następnie do Buchenwaldu. W końcu stycznia 1945 trafił do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. Z „marszem śmierci” dotarł do Buchenwaldu, gdzie został wyzwolony. Po wojnie pracował jako mechanik silników lotniczych.



ANDRZEJ KORCZAK-BRANECKI (ur. 1930) – uczeń, członek Szarych Szeregów, powstaniec warszawski. 12 września 1944 deportowany do obozu koncentracyjnego Dachau, stamtąd do Mannheim-Sandhofen, w grudniu 1944 do Buchenwaldu, a w końcu stycznia 1945 do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. 24 marca 1945 wyszedł z Frankfurtu w „marszu śmierci”, przez Buchenwald i Flossenbürg trafił do Dachau, gdzie doczekał wyzwolenia. Do Polski wrócił w sierpniu 1945. Pracował w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN.



KAJETAN KOSIŃSKI (1927–2009) – elektryk, żołnierz Armii Ludowej, powstaniec warszawski. Deportowany do Dachau, stamtąd do Mannheim-Sandhofen, następnie do Buchenwaldu. W końcu stycznia 1945 trafił do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. 24 marca 1945 wyszedł z Frankfurtu w „marszu śmierci”, przez Buchenwald i Flossenbürg trafił do Dachau, gdzie doczekał wyzwolenia. Po wojnie pracował w milicji.



JAN KOZŁOWSKI (1927–2007) – tokarz, hydraulik, żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski. Deportowany do Dachau, stamtąd 29 września 1944 do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. Prawdopodobnie jako jedyny przeżył ucieczkę z obozu. Aresztowany przez Gestapo w Mungunji, w kwietniu 1945 wyzwolony z więzienia w Bambergu. Do Polski wrócił w kwietniu 1946. Pracował jako metalowiec.



RYSZARD OLEK (1924–2005) – pracował w sklepie z częściami samochodowymi; powstaniec warszawski. Deportowany wraz z ojcem Stanisławem i bratem Zdzisławem do Dachau, stamtąd 29 września 1944 do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. Podczas „marszu śmierci” uciekł w okolicach Straubing, gdzie doczekał wyzwolenia. Jego brat zginął w czasie „marszu śmierci”. Po wojnie pracował w warszawskich teatrach.



ZYGMUNT ŚWISTAK (ur. 1924) – uczeń, żołnierz ZWZ–AK, powstaniec warszawski. 12 września 1944 deportowany wraz z ojcem Florianem i bratem Tadeuszem Świstakiem do Dachau, stamtąd do podobozu Katzbach we Frankfurcie nad Menem. 30 grudnia 1944 deportowany do Vaihingen, skąd 25 marca 1945 przetransportowany ponownie do Dachau, gdzie doczekał wyzwolenia. Jego brat zginął we Frankfurcie, ojciec w Dachau. W końcu 1948 roku wyemigrował do Australii. Pracował jako inżynier.

KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ

Tylko szczęśliwe zbiegi okoliczności sprawiły, że prawda o Katzbachu – obozie koncentracyjnym w samym centrum Frankfurtu nad Menem, w budynku znanych w całych Niemczech Zakładów Adlera – nie znikła. W ciągu siedmiu miesięcy istnienia obozu we Frankfurcie życie straciło tam 528 osób. 245 więźniów wyselekcjonowano i odesłano stamtąd do tzw. obozu chorych, a *de facto* na śmierć w KL Vaihingen. Na dwa tygodnie przed ewakuacją obozu, w marcu 1945 dokonano ostatniej dużej selekcji. Wagonami kolejowymi odesłano 500 więźniów do KL Bergen-Belsen. Transport przeżyli nieliczni, wagony po drodze całymi dniami stały nieotwierane na bocznicach. Po „marszach śmierci” pozostało przy życiu jedynie 56 z około 1600 Adlerczyków, którzy byli w większości Polakami i trafili do obozu po upadku Powstania Warszawskiego.

Na brak wiedzy o dramacie rozgrywającym się w Zakładach Adlera dodatkowo wpływał fakt, że podczas wojny istniały tam właściwie dwa obozy: ten pod kryptonimem „Katzbach” oraz „zwykły” obóz dla robotników przymusowych, którzy mieszkali poza budynkiem fabryki.

„Żelazna kurtyna” na dziesięciolecia skutecznie odgradziła byłych więźniów obozu Katzbach od świata, przede wszystkim od Niemiec Zachodnich. Sukcesor wojennych Zakładów Adlera mógł być pewien, że ze strony samych poszkodowanych nie dojdzie do konfrontacji ze zbrodniczą, wojenną przeszłością jego firmy. Dyrektor generalny fabryki, Ernst Hagemeyer, po zaledwie 20 miesiącach internowania został zdenazyfikowany i w 1947 roku powrócił na swoją posiadłość. Wówczas nie był to odosobniony przypadek. Republika Federalna Niemiec, przeżywając potem okres cudu gospodarczego, niechętnie wracała do wojennej przeszłości. Zakłady Adlera – od 1957 roku pod nazwą Triumph-Adler – nie produkowały już pojazdów opancerzonych ani nawet samochodów, lecz banalne maszyny do pisania. Nawet jeśli niektórzy frankfurczycy pracowali tam w czasie II wojny, nie przechwalali



Frankfurt nad Menem, Zakłady Adlera. Napis na tablicy: „Ku pamięci podobozu koncentracyjnego w Zakładach Adlera we Frankfurcie nad Menem. Ponad 1600 więźniów różnej narodowości przetrzymywano w części I Zakładów Adlera od sierpnia 1944 do marca 1945 pod nadzorem SS. W końcowej fazie «wojny totalnej» byli oni przydzieleni do pracy przy produkcji na cele zbrojeniowe oraz do prac porządkowych. 528 z nich umarło we Frankfurcie nad Menem z głodu i zimna, zostali straceni, zamordowani i zginęli wskutek niewystarczającej ochrony podczas nalotu 8 stycznia 1945. 245 z nich wyselekcjonowano jako «niezdolnych do pracy». Umarli w obozie koncentracyjnym Dachau i w obozie śmierci Vaihingen. Setki umarły podczas ewakuacji obozu do obozów koncentracyjnych Bergen-Belsen i Buchenwald. «Odpowiedzialność wymaga starań o zrozumienie cierpienia ofiar» Rafael Seligmann. FOT. WIKIPEDIA / DONTPANIC

się tym. Byli w końcu świadkami zamęczenia setek osób, a około 300 z nich było cywilnymi nadzorcami ich pracy w fabryce.

Tymczasem w latach 80. szczęśliwy przypadek zrzucił, że dwaj miejscowi nauczyciele, Ernst Kaiser i Michael Knorn z młodzieżą, zajęli się historią robotniczej dzielnicy Gallus. Szukając materiałów o Zakładach Adlera, zajrzeli do archiwum miejskiego i do biura cementarnego. Tam prędko okazało się, że sięgają po zakazany owoc. Rozbudziło to zapał i ciekawość historyków. Kaiser i Knorn w czasach, kiedy firmy i instytucje w Niemczech nie udostępniały jeszcze swych archiwów wojennych, dokonali rzeczy właściwie niemożliwej. Dokładnie zrekonstruowali i opisali mechanizmy funkcjonowania obozu Katzbach, jednocześnie wskazując beneficjentów katorżniczej pracy więźniów – zwłaszcza Dresdner Bank i jego akcjonariuszy. W 1994 roku Ernst Kaiser i Michael Knorn wydali książkę „*Wir lebten und schliefen zwischen den Toten.*” *Rüstungsproduktion, Zwangsarbeit und Vernichtung in den Frankfurter Adlerwerken* [„*Żyliśmy i spaliśmy między umarłymi.*” *Produkcja zbrojeniowa, praca przymusowa i zagłada we frankfurckich Zakładach Adlera*]. Autorzy dotarli do kilkunastu byłych więźniów.

Dzięki pracy historyków oddolnie realizował się frankfurcki proces upamiętnienia i pojednania. Triumph-Adler funkcjonował wówczas jeszcze jako zakład produkcyjny. W przywracanie pamięci o ofiarach obozu Katzbach zaangażowała się rada pracownicza zakładu. Na jego budynku odsłonięto tablicę pamiątkową oraz odnowiono napis na zbiorowej mogile na frankfurckim cmentarzu.

Uroczystości stały się okazją do zaproszenia byłych więźniów do Frankfurtu. Treść tablicy brzmiała jednak ogólnikowo, mówiła o „międzynarodowej grupie więźniów” – napis miał być możliwie uniwersalny i nikogo nie wykluczać. Do Powstania Warszawskiego i przeważającej liczby Polaków w obozie nie nawiązano. Równie uogólniająco brzmiał pierwszy napis na tablicy pamiątkowej na szkole podstawowej w Mannheim-Sandhofen, w której mieścił się podobny obóz. Niektórzy więźniowie Katzbachu najpierw trafili do Mannheim-Sandhofen, gdzie pracowali dla zakładów Mercedes-Benz. Po kilku latach tablicę tę poprawiono i teraz mowa na niej o Polakach – powstańcach warszawskich. Podobną zmianę nieprecyzyjnej treści tablicy na budynku Zakładów Adlera postulowałam w polskim przedstawicielstwie konsularnym i u władz Frankfurtu. Dotychczas bezskutecznie.

Odpowiedzialne za upamiętnienie ofiar II wojny instytucje we Frankfurcie nie wykorzystały potencjału lokalnych historyków. Jednocześnie oddolnie powstało kilka niezależnych inicjatyw obywatelskich, by upamiętnić Katzbach. Być może impulsem były sugestie byłych więźniów, którzy konstatowali z żalem, że ślady po obozie całkowicie już znikły. Tymczasem znali oni miejsca pamięci w Buchenwaldzie i Dachau, gdzie trafiali przed i po pobycie we Frankfurcie. Impulsem mogła być też izba pamięci KL Mannheim-Sandhofen, utworzona w piwnicy szkoły. Dziś trudno ostatnim byłym więźniom pojąć, że obóz w Mannheim, gdzie na około 1000 więźniów, także w większości powstańców warszawskich, zginęło 28 osób, doczekał się izby pamięci, a w byłych Zakładach Adlera prośba o takie miejsce spotyka się z niechęcią.

Właściciel budynku kilka lat temu oszacował koszt wynajmu pomieszczeń w tym celu na kilkadziesiąt tysięcy euro rocznie. Prywatna fundacja Claudy Stiftung, zaangażowana w działania na rzecz powstania izby, nie mogła udźwignąć tego ciężaru. Dziwi, że dotychczas w procesie upamiętnienia obozu Katzbach nie widać powstałego na początku lat 90. Towarzystwa Niemiecko-Polskiego we Frankfurcie.

Sama tylko przez przypadek zainteresowałam się Katzbachem. Znając treść tablicy na budynku zakładu, przypuszczałam, że Polacy, których więziono tu w czasie wojny, byli jednymi z wielu robotników przymusowych, których około 50 tysięcy pracowało wtedy w mieście. Nie zdawałam sobie sprawy z rozmiaru tragedii w obozie. W 2003 roku na prośbę Claudy Stiftung moderowałam rozmowę z zaproszonymi z Polski byłymi więźniami w Gallus Theater. Dzień przed oficjalnym spotkaniem dołączyłam do ich wycieczki nad Ren. Andrzej Korczak-Branecki opowiadał wtedy o wojnie, swej walce w Szarych Szeregach i o obozie. Raptem zorientowałam się, jak straszliwym miejscem kaźni był Katzbach oraz że przebywali tam głównie niedawni bojownicy o wolność – powstańcy warszawscy. Już kilka miesięcy później rejestrowałam w Warszawie wywiady z ostatnimi byłymi więźniami obozu. Pamiętam gorączkę tych rozmów. Moi interlokutorzy zdawali sobie sprawę, że jest to ich ostatnia relacja.

W Warszawie byli więźniowie obozu Katzbach spotykali się jeszcze do niedawna w Kole Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych Dachau i Natzweiler. Dziś żyje ich już tylko trzech. Czy jednak wraz z odchodzeniem ostatnich świadków II wojny coraz mniej ciąży na nas powinność upamiętnienia tamtych wydarzeń? Jeśli chodzi o pamięć po stronie polskiej, nie wątpię, że będzie ona trwała przez kolejne dziesięciolecia. Jeśli chodzi o pamięć we Frankfurcie – jest jeszcze wiele do zrobienia: potrzeba pogłębionej debaty w społeczności frankfurckiej, by upowszechnić wiedzę, że w mieście przebywało podczas wojny około 50 tysięcy robotników przymusowych, ale obóz koncentracyjny był tylko jeden – ten w Zakładach Adlera.

Małym przełomem jest obecna pierwsza szersza akcja upamiętnienia obozu w konceptualnych akcjach artystycznych. Urząd Kultury Frankfurtu w 2014 roku powierzył czterem artystom wielomiesięczne projekty, mające nawiązywać do obozu Katzbach. Przy okazji prac zaproszono do Frankfurtu byłych więźniów i ich dzieci, a także zawiązała się nowa inicjatywa obywatelska w celu utworzenia izby pamięci o obozie, gdzie młodzież mogłaby zdobywać wiedzę o wyniszczaniu przez pracę podczas wojny w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Sam monumentalny budynek byłych Zakładów Adlera przetrwał próbę czasu – objęty jest ochroną zabytków. Społeczność frankfurcka sama musi rozważyć, czy chciałaby i czy będzie w stanie unieść pamięć o obozie Katzbach.

Zawieszenie precyzyjnej tablicy pamiątkowej, mówiącej o więzionych i zamęczonych w Katzbach powstańcach warszawskich, może postulować także strona polska. Liczę na to, że w konstruktywnej współpracy z niemieckimi ekspertami uda się ustalić adekwatną treść – przywracającą podmiotowość byłym powstańcom warszawskim i nie pomijającą więźniów innych narodowości.

Joanna Vincenz

(ur. 1967) – dziennikarka, publicystka. Studiowała slawistykę i historię Europy Wschodniej w Getyndze i Frankfurcie nad Menem. Opublikowała m.in. zbiór rozmów z byłymi więźniami obozu Katzbach, z którego pochodzą wykorzystane w niniejszej broszurze fragmenty: Joanna Skibińska, *Die letzten Zeugen. Gespräche mit Überlebenden des KZ-Außenlagers „Katzbach“ in den Adlerwerken Frankfurt am Main* [Ostatni świadkowie. Rozmowy z byłymi więźniami obozu „Katzbach“ w Zakładach Adlera we Frankfurcie nad Menem] (Hanau 2005).

Mieszka w Niemczech od 1985 roku.

© Copyright by Ośrodek KARTA, 2016

KOORDYNACJA Agnieszka Kudęka

REDAKCJA Hanna Antos

PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD  RZECZYOBRAZKOWE

PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ Tandem Studio

DRUK Read Me, Łódź

ZDJĘCIA NA OKŁADCE Frankfurt nad Menem, Kleyerstraße. Zakłady Adlera, około 1940
ZE ZBIORÓW DR. PAUL WOLFF & TRITSCHLER, HISTORISCHES BILDARCHIV, D-77654 OFFENBURG

Ośrodek **Karta**

Ośrodek KARTA
Ul. Narbutta 29
02-536 Warszawa
tel. (+48) 22 848-07-12
www.karta.org.pl
email: ok@karta.org.pl

 **EVZ** STIFTUNG
ERINNERUNG
VERANTWORTUNG
ZUKUNFT

Projekt „Polscy więźniowie podobozu koncentracyjnego Katzbach w Zakładach Adlera. Niemiecko-polska publikacja i dyskusje plenarne w Warszawie i we Frankfurcie nad Menem” jest realizowany w ramach programu „Praca przymusowa i zapomniane ofiary” finansowanego przez Fundację „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość”.

Niniejsza publikacja nie przedstawia poglądów Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość”.
Za treść wypowiedzi odpowiedzialność ponoszą autorzy.

PARTNER PROJEKTU Claudy Stiftung

Wydanie I

Warszawa 2016

ISBN 978-83-64476-70-9

NA STRONIE OBOK: Frankfurt nad Menem, marzec 2015.
W ramach akcji artystycznej Stefanie Grohs przygotowała
1600 opasek z nazwiskami więźniów obozu Katzbach.
W rozwieszeniu opasek na drzewach w mieście
pomogło jej ponad 300 mieszkańców Frankfurtu
FOT. MACIEJ RUSINEK



